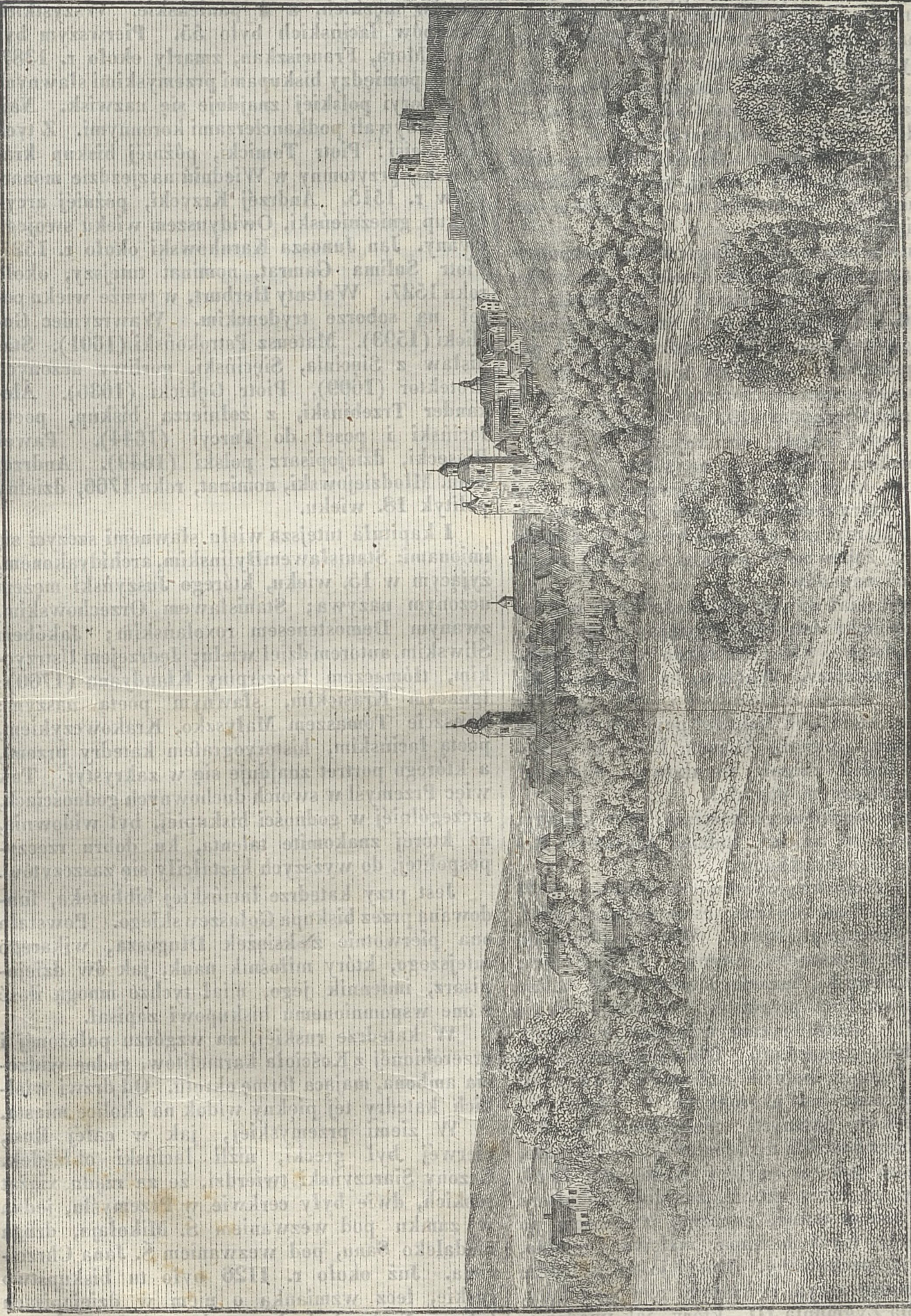
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. No. 41. Leszno, dnia 14. Kwietnia 1838.



Przemyśl w Galicyi, nad Sanem.

Przemyśl w Galicyi, nad Sanem.

Przemyśl, dawniéj stolica udzielnego xięstwa, jest jednćm z najdawniejszych miast w królestwie Galicyi. Nestor w 11. wieku wspomina o niém jako o wielkim grodzie ruskim. W roku 1098 dobywał go Koloman, król węgierski; w roku 1498 złupiony był i spalony przez Tatarów, których najazdy ponawiane w 1502, 1524 i 1575 niepokoiły przemyskią ziemię.

Roku 1624 pamiętne oblężenie Przemyśla przez Kozaków, pod wodzą Chmielnickiego. — Roku 1646 Szwedzi go dobywali.

Pierwéj, jak Lwów, do Polski wcielony, miał oddzielnego wojewodę; późniéj, gdy Ruś cała do Polski odpadła, województwo przemyskie na kasztelanią zamieniono.

Starostwo przemyskie długi czas Koniecpolscy prawem zastawném posiadali, dopiero w 16. wieku wykupili je Opalińscy. Sławą jest Przemyśla, iż roku 1760 był późniejszy król Stanisław Poniatowski jego starostą. Aż do czasów ostatnich panowania polskiego był stolicą ziemstwa i grodu.

Nad miastem wznosi się zamek na górze, Capią zwanéj, zbudowany w 10. wieku z drzewa, a w 14. z cegły, niegdyś obronny, dzisiaj ruina.

Jest podanie gminne, że na górze, po lewéj ręce leżącéj, którą, idąc ode Lwowa, widać nad miastem, a którą dotąd lud prosty Zniesieniem nazywa, Tatarzy raz zniesieni być mieli, i wódz ich zabity, zapewne w jednym z wyżéj przywiedzionych napadów.

Przemyśl miał dawniéj 12 kościołów, między którymi jezuicki celował. Księża ci mieli tu piękną bibliotekę, którą im około r. 1750 łaciński biskup tutejszy, Wacław hr. Sierakowski, podarował. Zniesienie Jezuitów i ich księgozbiór rozproszyło, który, jak Lelewel powiada, rozdany i poniszczony, zniknął. Gmach, który na umieszczenie książek zaczął Sierakowski budować, dotąd nieużytecznym pozostał.

Oprócz wspomnionego kościoła, są tu katedry, łacińska i ruska, unicka, tudzież klasztory Reformatów i Franciszkanów.

Katedra łacińska, wystawiona około r. 1474 przez biskupa Blaszkowicza, jestto piękny kościół, mający bronzowane ołtarze. Wyszczególnia się tu nagrobek z czarnego marmuru Alex. Fredra, biskupa przemysk., zmarłego roku 1634, także Fredra, kasztelana przemysk., żyjącego około roku 1677. Jestto rycerz w postawie leżącéj, w zbroi, z białego marmuru. Obok spoczywa posąg małżonki jego, w habicie zakonnym; zwyczaj, w jakim zawsze na nagrobkach w Polsce niewiasty wieków dawnych wyobrażano. — Poboczne kaplice kościoła tego fundował inny Fredro, także biskup tutejszy, żyjący około roku 1723. W kaplicy, po lewéj stronie, znajduje się ołtarz srebrny i lampa takaż, znacznéj wielkości; po prawéj obraz tegoż biskupa, malowany olejno, gdzie ma być pochowany. Dotąd jest w katedrze téj złota monstrancya, z kłosami pięknéj roboty, dzieło króla Zygmunta III., który, jak wiadomo, złotnictwem się bawił, i wiele kościołów robotami swemi ozdobił. Biskupstwo tutejsze łacińskie, potwierdzone bullą papieża Grzegorza XI. r. 1375, odnowił król Władysław Jagiełło około roku 1412. Dyecezya w 27 dziekaniach zawiera 331 probostw, 10 parochij miejscowych, 28 klasztorów męzkich, a 2 panieńskie. Wszystkich biskupów łacińskich było 55. Pierwszym był Eryk Mora, Franciszkan, zmarły około r. 1387. Wiele pomiędzy biskupami przemyskimi sławnych w historyi polskiéj znajduje się nazwisk. Najwięcéj bywali podkanclerzami koronnymi. Z tych sławniejsi: Piotr Tomicki, późniéj biskup krakowski, przytomny w Wiedniu na zjezdzie monarchów r. 1515. Andrzéj Krzycki, późniéj arcybiskup gnieźnieński, Owidyuszem wieku swojego zwany. Jan Junosza Karnkowski około r. 1527. Piotr Sulima Gamrat, nominat tutejszy, około roku 1527. Walenty Herburt, w tymże wieku poseł na soborze trydenckim. Wawrzyniec Goślicki (1593). Mateusz Pstrokoński (1601). Stanisław z Sięcinia, Sięciński, gorliwy uczonych protektor (1609). Piotr Gębicki (1636). Alexander Trzebiński, z żołnierza biskup, poeta łaciński i poseł do Turcyi (1644). Paweł Piasecki, dziejopisarz polski (1649). Andrzej Stan. Młodziejowski, nominat, roku 1766, dzielny polityk 18. wieku.

I kapituła tutejsza wielu sławnémi szczyci się imionami: Stanisławem Bylinskim, archidyakonem, żyjącym w 15. wieku, którego Juszyński mężem uczonym nazywa; Stanisławem Orzechowskim, zwanym Demostenesem roxolańskim; Jakóbem Śliwskim, autorem dzieł wielu; Jędrzejem Ustrzyckim, tłómaczem Prozerpiny Klaudyana (1700); Ignacym Krasickim, sławnym poetą naszym; wreszcie Tomaszem Małyszko, Krakowczykiem, poetą łacińskim, historyografem katedry przem., a którego portret znajduje się w zakrystyi. Tak więc Przemyśl w swoich duchownych godnościach, szczególniéj w godności biskupiéj, był widownią, na któréj znakomite talenta, ku dobru rzeczypospolitéj, do wyższych kształciły się zaszczytów.

Jest przy katedrze łacińskiéj biblioteka, fundowana przez biskupa Gołaszewskiego. Powstała ona pierwotnie z książek Długosza, wikarego tutejszego, który miłośnik nauk, jak ów dziejopisarz, imiennik jego, miał tychże mnogą ilość i one wspomnionemu biskupowi zapisał.

W katedrze ruskiéj, na wzgórzu położonéj i przerobionéj z Kościoła karmelitów, godna widzenia ambona, mająca formę okrętu. Od drzwi wielkich katedry téj piękny widok na okolice miasta.

W ziemi przemyskiéj, jak w całéj Rusi, pierwéj był grecki, niżli łaciński obrządek. Uczony Siarczyński twierdzi, że za rządu xiążąt ruskich, dwie były cerkwie w Przemyślu, jedna w zamku pod wezwaniem Ś. Mikołaja, druga niedaleko Sanu, pod wezwaniem Ś. Jana Chrzciciela. Już około r. 1126 było tu biskupstwo ruskie, lecz wzmianka o niém w dziejopisach (okrom Nestora) dopiero pod r. 1218 uczyniona.

Pierwszy znany nam jest biskup Antoni, będący czas niejaki archiepiscopem nowogrodzkim. Na soborze w Brześciu Lit. r. 1594. Michał Kopystyński, bisk. przem., wraz z innymi przyjął unią, lecz jéj wkrótce odstąpił. Byli jednak w dyecezyi tutejszéj i Rusini unici, którzy osobnych swoich mieli biskupów; atoli władza tych była bardzo ograniczona, ścieśniona nieunitami, i nawet nazwiska ich do czasów naszych nie doszły. O jednym z nich, Antonim Winnickim, wspomina Siarczyński. Ten wygnany przez Prokopiego Chmielowskiego, do Sanoka schronić się musiał. Jerzy Winnicki, biskup nieunitów przemyskich, przyjął na soborze zamojskim unią kościoła rzym. Około r. 1660 ludność dyecezyi ruskiéj tutejszéj wynosiła dusz do 3 milionów, a cerkwi farnych i zakonnych było do 3000; w samym Przemyślu było ich 14. Teraźniejszy biskup ruski w 39 dziekaniach rządzi 553 probostwami, 196 parochiami miejscowemi, 6 męzkiemi a 1 panieńskim klasztorem. Biskup przemyski ruski pisał się dawniéj sanockim, samborskim i jarosławskim.

Na tak zwanéj bramie ruskiéj jest następujący szczególniejszy napis:

Kto idzie, niech tu stanie, przed bramą Janową,
Aby się z grzechu obmył wodą Chrzcicielową,
Którą jest trąd zgładzony człowieka każdego,
Na znak z Bogiem prawdziwym przymierza wiecznego.

Kościół franciszkański w teraźniejszéj postaci swojéj, w drugiéj połowie 18. wieku wystawiony został z jałmużny, przez gwardyana Ostrowskiego zebranéj. Dawniéj obok niego mała kapliczka stała. Przy drzwiach kościoła, tego godny widzenia jest portret Adama ze Żmigroda Stadnickiego, wojewody bełzkiego, starosty przemyskiego, stryjskiego i t. d., dobroczyńcy klasztoru, zmarłego roku 1612. W kaplicy jest niewiadomego malarza obraz pamiątki oblężenia Przemyśla przez Rakocego. Przed wielkim ołtarzem znajduje się portret biskupa Sierakowskiego, a po drugiéj stronie Eryka Mora, zasłużonego w 13. wieku przełożonego klasztoru, a który oraz, jak wyżéj się rzekło, był biskupem przemyskim.

Przemyśl jest ojczyzną kilku mężów uczonych: Andrzeja Wargockiego, sławnego kaznodziei i filozofa, autora dzieł wielu, żyjącego w 16. wieku; Stanisława Dybowieckiego, biegłego fizyka i lekarza króla Zygmunta III.; Marcina Krowickiego, który z plebana w Sądowéj Wiszni został ministrem Aryanów, i wydał dzieło o urzędzie; umarł r. 1574

Od połowy 18. wieku miał Przemyśl drukarnią Adama Kleina; późniéj drukowali Ant. Matyaszowski i Gołębiowski. Teraz powstała tu druga drukarnia biskupstwa ruskiego, którą zawiaduje x. kanonik Ławrowski, mąż światły, posiadający tu liczny księgozbiór.

Kilka słów o Tygodniku literackim.

Już dawniéj miałem sposobność, mówiąc o krytyce, zwrócić uwagę czytelników Przyjaciela Ludu na stósunek, jaki zachodzi lub zachodzić powinien pomiędzy uczonymi a całością narodu. Dążyła w ówczas osnowa méj rozprawy ku temu, aby wykazać, że gieniusz jeden lub drugi, stojący na szczycie wieku, przewodnik czasu i razem jego służalec, nie jest skazówką powszechnego narodu postępu, że tylko zasmakowanie ogółu w tém wszystkiém, co stanowi wyższą kulturę, takową cechować może; że wreszcie nie tylko po liczbie dzielnych pisarzy, ale raczéj także po liczbie czytelników, miarkować należy stan powszechny narodu, jak lekarz po pulsie miarkuje krwi obieg i harmonią w organizmie ciała ludzkiego. Doskonałym pulsem dla tego, który wymacać zamyśla ducha ogółu, zmiarkować mocne lub wątłe siły jego, są niezawodnie pisma czasowe. Niedostatek ich wskazuje, już to, że nie masz ludzi, coby czuli potrzebę wywnętrzenia tego, co im na duszy cięży; już to, że nie masz ogółu, któryby dążność ich podsycał, karmił się ich płodami: słowem, jest to oznaką omdlenia, letargu powszechnego. Lat temu dopiero cztery, jak xięstwo nasze z letargu tego budzić się zaczęło. Znaleźli się tacy, którzy nużeni brzemiennością chęci i myśli, zrzucili z siebie ten ciężar, wydając na widok obecne pismo, Przyjaciela Ludu; a wielka liczba czytelników chlubnie zaświadczyła, jak publiczność chciwą była czytania. Pare tysięcy exemplarzy rozbiegło się po różnych okolicach, wiadomości różnostronne wsiąkały, że tak rzeknę, w spragnionych duszach, jak ziemia wyschła i pragnąca chłonie w sobie obfite wody, i wciąż sycona, jeszcze ziewać się zdaje, by jéj niebiosy krzepić nie przestawały. Wszakże wnet się okazał niedostatek z innéj strony, a publiczność zasmakowawszy w żywiole tym pokarmnym, wymyślniejszą się stała w swoim wyborze. Nudziły jednych piosnki i powiastki gminne; uczone rozprawy odstraszały mniéj strawne umysły: ztąd nowe nieukontentowanie, nowe pragnienie, a cztery lata i tysiące artykułów różnych tak mało wyczerpnęły pełność myśli, tak mało nasyciły zgłodniałe umysły, że powszechny dał się słyszeć głos o nowe jakie pismo, zaradzające téj niedogodności, utrzymujące niejako równowagę tak różnych dążeń i myśli, tak różnych usposobień czytelników. — Serce rośnie na tak namiętne wołanie o pokarm umysłowy! nieśmy go co prędzéj, póki chęci żywe i mocne.

Takowy to odgłos publiczności, zdaje się, wywołał nowe pismo czasowe w Poznaniu, pod napisem: „Tygodnik literacki", którego pierwszy numer z dnia 2. Kwietnia mamy przed oczyma. Ex ungue leonem! Z pierwszych artykułów tego pisma wnosić można o jego celu i stósunku, jaki ma zachodzić między niém a Przyjacielem Ludu: już nazwy same pism tych obudwóch dosyć je charakteryzować powinny. Ma „Tygodnik literacki" zaspokoić zażalenia tych, którym rozprawy wyższe zdawały się być po za obrębem pisma obecnego, albo téż odstraszać znaczną czytelni-

ków liczbę; ma służyć za środek objawiania się i popisywania dla tych, co wyższemi pędzeni celami, udzielaćby się pragnęli narodowi: słowem, ma „Tygodnik literacki“ być uzupełnieniem Przyjaciela Ludu, utrzymać równowagę różnych stron i dążeń. Nie wynika atoli z tego, aby pismo to nowe przeznaczone być miało dla pewnego tylko czytelników wydziału: owszem dążnością redakcyi jest i być powinno, uczynić je przystępném dla ogółu. Nie zawszeć przecie fraszkami sámemi bawić nam się należy: czas się też i uczyć; a kogożby z nas zawstydzić nie miało wyznanie, że Tygodn. liter. jest za wysoki! Nie chciejmy się tak poniżać, by nas Beotami sprawiedliwie nie nazwano, jak to wzmiankuje artykuł jeden Tygodnika. Obadwa te pisma wspierać się mają, ale nie wypychać wzajemnie; prostować się po przyjacielsku, ale nie dążyć ku wzajemnemu zniszczeniu. Prawda stanie się śmielszą, uprzedzenie zawstydzi się nie raz; — ci, co się do dziś dnia za wybranych głosili lub nieomylnych, przekonają się, że nie na tém sława ich zależy, że nikt im sprzeciwić się nie śmie, ale na tém owszem, że pomimo zgromienia ich, jeszcze wybranymi być nie przestają. Tylko duchy słabe boją się oporu, bo ten je zawstydza, niszczy; kto pewnym swego, ten się zastraszyć nie może.

Tyle powiedziawszy o piśmie tém w ogóle, o stanowisku jego i celu, zwróćmy uwagę nieco na artykuły w pierwszym zawarte numerze. Główne rubryki stanowią: literatura zagraniczna, literatura krajowa, krytyka, przegląd czasopismów, doniesienia literackie i rozmaitości. Pod rubryką pierwszą czytamy artykuł o ucieczce Szyllera, zawierający interessowniéjsze sceny z lat młodych tego bohatéra w literaturze niemieckiéj. Literatura krajowa podaje nam dwie rozprawy: jednę o zasługach Wielkopolski, w oświacie i literaturze krajowéj położonych; drugą o współczesnych kompozytorach polskich, gdzie pan Y. namieniwszy w krótkości o Chopinie i Lipińskim, tudzież zapowiedziawszy nam na późniéj dalszy wywód historycznego rozwinięcia się muzyki w Polsce, zastanawia się szczegółowo nad talentem i zasługami Felixa Dobrzyńskiego i ś. p. Antoniego Radziwiłła. Krytykę rozpoczął pan X. ocenieniem historyi miasta Wilna, przez M. Balińskiego: recenzent przyznając autorowi pochwały zasłużone, wytykając uchybienia, w ogóle ten sąd wydaje, że historya Wilna, uważana jako materyał do historyi ogólnéj, celowi temu nie zupełnie odpowiada; zajmuje jednak jedno z najcelniejszych miejsc, uważana jako poważniejszy produkt literacki. Głównie zajmuje miéjsce, a przeto na szczególniejszą zasługuje uwagę, rozprawa o zasługach Wielkopolski względem literatury i oświaty krajowéj. Autor rzeczonego artykułu, zbijając mylne zdanie wielu, nie mówię uprzedzonych lub nieznających literatury, ale uczonych nawet mężów, jakoby Wielkopolska, w stósunku do innych części dawnéj Polski, Beocyą była, lub Gaskonią, niwą wciąż jeszcze odłogiem leżącą; przechodzi kolejno wszystkie ważniejsze, charakterystyczne epoki historyi politycznéj i naukowéj Polski, wymienia od czasów wprowadzenia chrześciaństwa mężów uczonych téj prowincyi, mężów już to pismami, już innemi czynami szlachetnemi przyczyniających się do ulepszenia losu i stanu narodu; dowodzi, że Wielkopolska w rólnictwie, handlu, przemyśle réj zawsze wodziła, i dla tego po wszystkie czasy bytem dobrym nad wszystkie inne celowała prowincye, a tym sposobem wskazuje, że nie tylko Wielkopolska w kulturze ogólnéj równowagę utrzymała i utrzymuje z resztą dawnéj Polski, ale nadto raczéj zawsze jéj przewodniczyła. Nic jaśniejszego nad tę prawdę, nic słuszniejszego nad zamiar autora. Wszakże pan X. przedsiębiorąc apologią Wielkopolski, przedsięwziął sprawę słuszną, ale obraz jéj niezupełnie wykonał tak, jak mógł był wykonać, rzeczy swéj nie z wszystkich stron się przypatrzył. Pomijam pytanie, czyli apologia takowa na samym czele pisma nowego była stósowną, czyliby nie mogła być uważaną za przechwałkę, za niewczesne uprzedzenie czytelników, że z Beocyi polskiéj też się przecież czegoś spodziewać mogą: przechodzę zaraz do rzeczy saméj. Uczenie autor wskazuje zasługi Wielkopolski, dowody swe na mocnych opiera fundamentach, na faktach jasnych, niezaprzeczonych; jasno widzi stósunek téj prowincyi do reszty dawnego królestwa; ale czyliż przytoczeniem tych faktów nie zdaje się przypuszczać, że uczony K. Brodziński i inni mniéj dokładnie znali stan Wielkopolski, jéj byt i literaturę? Czyliż tenże Brodziński, który lata swoje strawił, zżył się prawie na zgłębianiu literatury ojczystéj, nie wiedział o uczonych mężach téj prowincyi, nie znał jéj handlu, przemysłu, a ztąd bytu lepszego? Mnie się zdaje, że K. Brodziński znał dobrze wszystko to, co pan X. obszernie wywodzi; a jednak czuł się spowodowanym do spostrzeżenia, że Wielkopolska jest niwą dotąd nieuprawną. Nie chodziło więc o to tylko, aby wykazać zasługi Wielkopolski, bo te wszyscy literaci znają zapewne, znać przynajmniéj powinni; ale o to raczéj, aby wyjaśnić, co podobny zarzut Brodzińskiemu i innym nastręczyć mogło. A na to pytanie, zdaje mi się, odpowiedzieć nie trudno. Dwa względy należało tu mieć na oku; najprzód, w jakiéj gałęzi literatury powszechnéj Wielkopolska w tyle pozostała, a przynajmniéj celowała mniéj od innych prowincyj; powtóre, jaki istotnie zachodzi stósunek między oświatą téj części dawnéj Polski, a oświatą reszty królestwa; i co jest pewnego opóźniania się, pewnéj nierównowagi przyczyną. K. Brodziński sam poeta, ztąd w poetycznéj literaturze zapewne więcéj smakujący, dokładniéj ją zgłębiał, niż inne płody umysłowe; wyżéj ją cenił nad inne; a przeto do miary jéj przykładał ogół literatury, z poezyi wnosił o stanie kultury, na wszystko, co do miary téj nie przypadało, z boku

się przypatrywał, i wydał sąd mniéj pomyślny, mniéj słuszny. Przebaczyć należy Brodzińskiemu to uprzedzenie, ale zgromić tak jednostronne uważanie rzeczy: wszakże tak K. Brodzińskiemu, jak P. X. darować nie można, że przyczyny tego niedostatku literatury poetycznéj w Wielkopolsce głębiéj nie szukali; że ani jeden, ani drugi się nie zapytał; zkąd takie ubóstwo w poetycznych płodach, zkąd w ogóle pewne niewydążenie téj prowincyi w wyścigach literackich? Oto geograficzne położenie téj ziemi, oto stósunki polityczne w różnych kolejach losów historycznych, mocny, nieodzowny na literaturę Wielkopolski wpływ wywierały i do dziś dnia wywierają. Nadmienić nie potrzebuję, że ziemia wielkopolska, jéj przyrodzona własność, jéj klimat, więcéj do prozaicznego rozważania i badania usposobiają mieszkańców, niż do zapalenia imaginacyi, do bujania po świecie urojeń i ideałów. Ze bujne, urozmaicone, same przez się poetyczne okolice Galicyi, Podola, Ukrainy, Litwy, więcéj wywoływać mogą poetów, niż równa, uprawna rola wielkopolska, któżby zaprzeczył? Sama kultura przemysłowa téj prowincyi, to dążenie ku ulepszeniu bytu, to zwrócenie się ku życiu praktycznemu, jest zasługą Wielkopolski, jest ważnym postępem oświaty; ale jest razem zniszczeniem wszystkich niemal poetycznych uniesień, zagładą idealności. Nie przeto Wielkopolska obfituje zarówno w poetów, że liczy Krzyckiego, Janickiego i innych, dzisiaj zaszczytnie nam przodkującego jenerała Morawskiego; nie tam zasług Wielkopolski szukać nam należy: polegają one na przemyśle, na zgłębianiu nauk ścisłych, na istotném ulepszeniu bytu wszystkich klass mieszkańców. Uważał to pan X. z daleka, ale nie położył na rzeczy téj żadnego przycisku; mówił wiele o handlu, przemyśle, o szczęśliwéj styczności z krajami ucywilizowańszemi, o przyswajaniu sobie kultury wyższéj tych krajów; ale nie napomknął, jakie z téj styczności wynikały skutki głębsze, jaką w tym względzie Wielkopolska zawsze odgrywała rolę. Oto położona na pograniczu tak różnych narodów, jakiemi są Niemcy i Sławianie, narodów tak różnych w kulturze, języku, obyczajach, pomysłach, dążeniach, zajmowała toż samo stanowisko, jakie zajmowały pracowite chłopki nasze, co w pocie czoła uprawiali ziemię, ale owoce zbierali panowie: odgrywała rolę żołądka, który trawił tylko pokarmy przyjęte, aby całemu organizmowi dostarczyć sił żywotnych, dodać czerstwości. Chciwie chwytali Wielkopolanie zawsze to, co narody ucywilizowańsze wymyśliły, wyrobiły; ale pomysły te i wyrobki rozumu, zamącone zawsze jeszcze były w saméj téj prowincyi; stykające się różne elementa walczyły z sobą, wypychały się wzajemnie, tłumiły samoistne, rodzinne żywioły. Wyrobione dopiero, wyczyszczone, wytrzymawszy próbę ostrą, odbywszy jak gdyby kwarantannę pograniczną, z korzyścią udzielały się reszcie narodu, i wsparte silnym, świeżym umysłem mieszkańców odleglejszych, posilone myślą rodzinną, swobodną, plonne wydawały owoce na żyznych ziemiach innych prowincyj dawnéj Polski. Dziwne więc jakieś Wielkopolski przeznaczenie, dziwna jéj powierzona rola; nie tak sama wynieść się miała i wzrość potężnie, jak raczéj do wzrostu żywotnych dostarczać soków. Tak korzeń drzewa jest podstawą, całém jego życiem: wszakże owoce z gałęzi zbieramy, depcemy po korzeniach. Nie tak więc jasno nas bije w oczy światło Wielkopolski, nie tak imponujące są płody literatury powszechnéj nawet, ale wielkie, niepoliczone są jéj zasługi względem kultury całego narodu; nie tak liczne, może nie tak wykończone są utwory umysłowe Wielkopolanów; ale ileż to ich myśli, pojęć, ile spostrzeżeń i odkryć poślakowaćby się dało w dziełach autorów reszty Polski! I te to są uwagi, którychby pan X. nie powinien był pominąć: inaczéj jest jego apologia uzasadnioną na tém, czego nikt nie przeczył; nie dostaje jéj tego, czém mocno zasłonić się mogła i była powinna. Przyjmie uczony autor te spostrzeżenia, jako głos, który mi się zdaje być głosem szczerości i prawdy: ale uwalniam go zupełnie od zarzutu, jaki mu uczynił w gazecie poznańskiéj pan F. K. N........i, że autor rzeczonéj rozprawy wymieniając ludzi uczonych téj prowincyi, pominął niektórych współczesnych, przytoczonych przez pana F. K. N. Mnie się zdaje, że pan X. nie miał na myśli pisać ironiż lub pochlebstw; że wiedział o tém dobrze, iż przytaczając tych, a nie innych, byłby musiał kompletny dołączyć rejestr uczonych współczesnych, że późniejszym jest zostawione ocenienie i pochwalanie zasług uczonych naszych. H. C.

Kunsztmistrz.

(Ciąg dalszy.)

Naprzód we względzie pochwycania. Ton powietrza, n. p. kształt drzewa, rozdzielanie cienia i światła, cały w ogólności koloryt, dopuszcza nieskończonych rozmaitości. Dla tego też, mianowicie pod względem farbowania i oświecania, znajdujemy największą między malarzami różność i właściwość w sposobie użycia. Czasem też może być ton farby, którego w naturze, choć się zdarza, nie uważamy, ale temu lub owemu kunsztmistrzowi wpadł w oczy, on przyswoił go sobie i potém wszystko w tém świetle widzieć i oddawać przyzwyczaił się. Jak z kolorytem, tak i ze samemi przedmiotami, z ich grupowaniem, postawą, poruszeniem, charakterem dziać się może. Szczególniéj u niderlandzkich mistrzów napotykamy tę cechę maniery; van der Neera światło miesięczne w jego nocnych scenach; van der Goyena piaszczyste wzgórze, często powtarzany połysk atłasu i inne jedwabne materye na wielu obrazach innych mistrzów, należą do téj kategoryi.

Daléj rozciąga się maniera na exekucyą, prowadzenie pendzla n. p. w łączeniu farb i t. d. Ale, gdy tak ulubiony rodzaj, ciągłém powtarzaniem w zwyczaj wnijdzie i kusztmistrzowi drugą naturą się stanie, wnet też zagraża, że im specyalniéj rozszerzy się maniera, tém łatwiéj w golę powtarzanie i obumarłą fabrykacyą się zamieni, w któréj on swe natchnienie i

ducha pełnego utraci. W tym razie kunszt popada w rzemieślniczą tylko zręczność i sama w sobie niezła może maniera w czczość i obumarłość przechodzi.

Lepsza zaś maniera wyłamuje się ze ściśnionéj szczególności i sama w sobie tak się rozszerza, że tym podobne specyalne rodzaje przedstawienia do zwyczaju się nieznižą, gdy kunsztmistrz w ogólniéjszym sposobie do natury rzeczy się stósuje i ten ogólniéjszy rodzaj przedstawienia, wedle jéj pojęcia, przyswaja sobie. W tém rozumieniu możnaby u Göthego nazwać manierą, że on nie tylko towarzyskie poezye, ale i inne poważniéjsze przedmioty, zwrotem swobodnym zręcznie zakończyć umie, by zamroczoną sytuacyą znieść i oddalić. Horacyusz w swych listach używał téj samej maniery. Jest w tém coś podobnego do zwrotu konwersacyi, która, aby nie zachodzić daléj w niemiłą materyą, wstrzymaną i uciętą bywa, a głębszą jéj osnowę znowu się zręcznie i wesoło przeplecie. Sposób ten jest wprawdzie także manierą i do subjektywnego traktowania przedmiotu należy, ale w ogólniéjszém znaczeniu, postępującego tylko wedle wewnętrznéj potrzeby rzeczy. Od tego ostatniego stopnia maniery możemy na styl zwrócić uwagę.

Styl rozciąga się na zasady kunsztownego przedstawienia, pochodzącego z natury pewnego kunsztu, w którym jakiś przedmiot ma być wykonany. Pod tym względem n. p. rozróżniamy w muzyce styl kościelny, od stylu opery, w malarstwie historyczny od rodzajowego. Styl potém tyczy się sposobu przedstawienia, który równie do warunków materyału się stósuje, jakoli potrzebie pochwycenia i przeprowadzenia pewnych gatunków kunsztu i ich zasadom, z natury rzeczy wypływającym, zawsze odpowiada. Brak stylu, w tém rozleglejszém znaczeniu, dowodzi tylko niezdatność przywłaszczenia sobie koniecznego sposobu wydania rzeczy, albo subjektywną swawolę, która zamiast trzymać się zasad, popuszcza wodze upodobaniu własnemu i w manierę przechodzi. Dlatego téż nie godzi się zasady stylu, jednemu kunsztowi właściwe, na inne kunszta przenosić, jak n. p. Mengs kolorowane formy swego Apolla według principiów skulptury wykonał. Podobnie widzimy z wielu obrazów Dürera, że styl drzeworznięcia zupełnie był sobie przyswoił i w malarstwie a mianowicie w rzucie fałdów zachował.

Oryginalność nakoniec nic leży tylko w stósowaniu się do zasad stylu, ale w subjektywném natchnieniu, które niepoddaje się saméj manierze przedstawienia, ale rozumną treść pochwyca i wyrabia ją z wnętrza swego, według istoty pewnego gatunku kunsztu, jakoli stósownie do ogólnego pojęcia ideału. Oryginalność przeto stoi w jedności z prawdziwą objektywnością i w taki sposób obejmuje rzecz i subjektywność przedstawienia, że obie strony w zupełnéj zgodności zostają. Pod jednym względem stanowi ona najwłaściwszą wewnętrzność kunsztmistrza, z drugiéj zaś strony niedaje przecie nic prócz natury przedmiotu; tak, że owa właściwość, tylko jako właściwość rzeczy się objawia i również z téjże, jakoli rzecz z produktywnéj subjektywności wynika.

Przedewszystkiem więc odróżnić należy oryginalność od swawoli i subjektywnych dziwactw, gdyż zwyczajnie pod oryginalnością rozumiano odróżnianie się w utworach, tak, że one tylko temu a nie innemu subjektowi właściwe, nikomu drugiemu na myślby nie wpadły; co jednak jest tylko nikczemną partykularnością. Z tém szczególniéj stoi w połączeniu tak wsławiona za dni naszych oryginalność dowcipu i humoru. Tu wychodzi kunsztmistrz ze swéj własnéj subjektywności i wraca zawsze do niéj nazad, a istotny objekt przedstawienia staje się tylko zewnętrznym powodem, aby dowcipom, żartom i wyskokom subjektywnéj wesołości szerokie pole otworzyć. Ale w takim razie owa subjektywność i przedmiot odstaną od siebie i treść swawolnie będzie się wichrzyć, byle tylko partykularność kunsztmistrza zawsze na wierzchu świeciła. Taki humor może być pełnym ducha i uczucia, jako też zwykle występuje z wielką impozycyą, w ogólności przecie jest łżejszy, niżeli się zdaje; gdyż rozumny bieg rzeczy ciągle przerywać, swawolnie zacząć, prowadzić i kończyć, pasmo dowcipów i uczuć jaskrawie jedno przez drugie przerzucać, a tym sposobem fantastyczne karykatury tworzyć, jest łatwiéj, niżeli całość dokładną w świadectwie prawdziwego ideału z siebie wywinąć i zaokrąglić. Ale teraźniejszy humor lubiąc usuwać nieznośność szorstkiego talentu, oddala się wszakże od istotnego humoru i na mieliznie osiada. Prawdziwy humor zawsze był rzadki, lecz teraz, to najpłowsze trywialności, gdy tylko barwę zewnętrzną i pretensyą do humoru mają, już za gienialne i głębokie. Shakspeare, zaprawdę, wielki i głęboki ma humor, a mimo tego jednak nie zbywa mu na płytkości. Równie uderza nas humor Jean Paula głębokością dowcipu i pięknem uczuciem, ale też przeciwnie zraża nas nieraz dziwném zestawieniem przedmiotów, nieprzystających do siebie, i ich stósunkami, które zaledwo odgadnąć się dają. Takich rzeczy, największy nawet humorystyk, niema obecnych w pamięci i dlatego widzimy z kombinacyi Jean Paula, że one nie siłą gieniuszu powstały, ale zewnętrznie z różnych stron poprzynoszone są. Zaglądał on w książki botaniczne, prawnicze, filozoficzne i t. d. aby mieć zawsze świeży zapas materyałów. Co go zajęło, notował natychmiast, dopisywał do tego co mu w myśli błysło, a gdy samemu przyszło wziąść się do wynalezienia, wtedy najprzeciwniejsze rzeczy w jeden wór sypał. I to za oryginalność okrzyczano, albo jako humor, który przypuszcza wszystko, usprawiedliwiano.

Czysta oryginalność usuwa wszelką taką swawolę od siebie, a prawdziwe dzieło kunsztu wyzwala się z tak krzywéj oryginalności, gdyż swą oryginalność tem tylko dowodzi, że występuje jako j e d y n y utwór j e d y n e g o ducha, który nic z zewnątrz niełata, ale całość w ścisłym związku, jednym wylewem, jednym tonem sam ze siebie produkuje, tak jak rzecz sama w sobie się zjednoczyła. Jeśli zaś sceny i motywy nieznajdą się same przez się, ale ze zewnątrz przyjdą i kojarzyć się chcą, wtedy wewnętrznéj konieczności do ich zjednoczenia niema, i widać je, jako przypadkowo przez trzecią, obcą subjektywność podoszywane.

Prawdziwa przeto oryginalność kunsztmistrza i jego dzieła w tém tylko leży, aby rozumnością prawdziwego w sobie przedmiotu, ożywionym został. Gdy kunsztmistrz przyswoił sobie ów objektywny rozum, nie zabrudziwszy go, ani zamieszawszy bądź ze zewnątrz albo z wewnątrz jakąkolwiek obcą partykularnością, wtenczas we wyrobionym przedmiocie wydać może siebie w swojéj prawdziwéj subjekywtności, która, tylko dla zamkniętego w sobie dzieła, chce być żywym punktem przejścia, jak w ogólności we wszelkiém prawdziwém myśleniu i czynieniu dozwala ona prawdziwéj wolności, substancyalności, jako potędze, w sobie panować, a równie ta, jest tak właściwą potęgą subjektywnego myślenia i woli, że w zupełnéj zgodności obudwóch, żadne rozdwojenie zostać niepowinno. Tak więc oryginalność w kunszcie uchyla wszelkie przypadkowe rozróżnienie, ale dla tego tylko, aby kunsztmistrz mógł pójść zupełnie za natchnieniem gieniusza, wypływającém jedynie z rzeczy; a zamiast upodobania i czczéj swawoli, prawdziwość samego siebie, wedle prawdy, w dokonanéj rzeczy wystawić był zdolny. — Nie mieć żadnéj maniery, było od dawna jedynie wielką manierą, i w tém to rozumieniu są oryginalnymi tylko: Homer, Sophokles, Raphael, Shakspeare. **

Karpiński ostatni raz w Warszawie.

(Wyjątek z rękopismu: *Moje wspomnienia.*)

Gruchnęła wieść po stolicy, że Karpiński w niéj się zjawił. Wzbudziła dość żywą ciekawość, ale tylko w literatach, poetach. Gdy przecież kilka dni upłynęło, a nikt go nie widział, wieść tę wzięto za fałszywą, zagłuszona wreście tysiącem lecących po sobie nowości, ucichła zupełnie. Nim ś. p. czcigodny Staszic obdarzył towarzystwo przyjaciół nauk wspaniałym gmachem

na krakowskiém przedmieściu; posiedzenia jego publiczne odbywały się na tak zw anychkanoniach. Przypadło właśnie wówczas podobne posiedzenie, zebrała się mnoga publiczność, liczba nawet członków towarzystwa nie była szczupłą. Wszedłem i ja za drugimi, a nie widząc w gronie uczonych żadnéj nieznanéj mi twarzy, tém bardziéj się upewniłem, że wieść przybycia starego wieszcza, zmyśloną została. Malowniczym był widok rzeczonego posiedzenia. Najznakomitsze damy stolicy zasiadły pierwsze ławy, za niemi różni dygnitarze, wojskowi, kapłani, uczeni, obywatele, a za tymi młodzież uniwersytetu. Miejsce, przeznaczone dla członków towarzystwa, odcięte było długim, wązkim i zielonym stołem, za którym w środku siedział Staszic, ówczasowy prezes towarzystwa, cały czarno przybrany, z obliczem mędrca greckiego; po lewéj jego Stanisław Potocki, w bogatym futrze sobolowém, zrzuconém z jednego ramienia, jakby dla odsłonienia gwiazdy, na axamitnym surducie błyszczącéj; po prawéj zaś Staszica, Niemcewicz, to cieszący się każdą nową myślą czytających, to na drobnym świstku podający jakiś dowcip ołówkiem skryślony, siedzącym przed nim damom. Obok Potockiego siedział, ile pomnieć mogę, żyd Stern z Hrubieszowa, w szacie polskiego Izraelity, z brodą czarno-rudawą; przy nim półkownik Chodkiewicz, w mundurze sztabu gwardyi z rozpostartemi wzorami płatów, krajowym czerwcem ubarwionych, daléj i w drugim rzędzie reszta uczonych. Sciany przybrane były w popiersia sławnych niegdyś piórem mężów, w głębi zaś wielki portret Fryderyka Augusta, pendzla Bacciarellego.

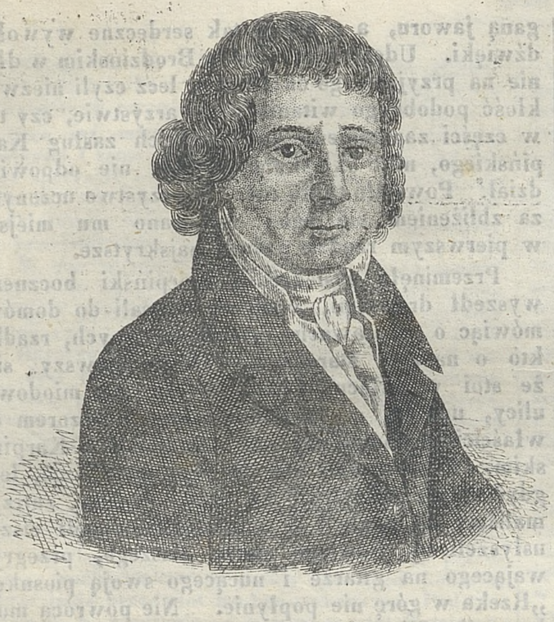
Odczytał już był Staszic swoje zagajenie, zbliżał się i Potocki do końca rozprawy, kiedy wtém jakąś niespokojność ujrzałem na twarzy Niemcewicza, jakąś niecierpliwość, któréj sobie wytłumaczyć nie mogłem. Zrozumiałem ją wreście; zaledwie bowiem Potocki ostatnie wyrzekł słowa, powstał Niemcewicz i donośnym zawołał głosem: „Panie Karpiński, prosim między siebie, prosim zająć należne mu miéjsce, zaszczycić nasze grono.“ Zwróciliśmy wszyscy oczy w stronę, którą Niemcewicz wzrokiem swym oznaczał, i ujrzeliśmy przy drzwiach, jakąś niską, potulną figurkę, która zawstydzona tak publiczném wezwaniem, coraz głębiéj chroniła się w swój zakątek. Trzeba było powtórnego wezwania Niemcewicza, aby zmusić nareście Karpińskiego do udania się na miejsce wskazane.

Nie, nigdy nie zapomnę téj chwili, tak mię żywo zajmującéj. Szedł powoli blady i wychudły staruszek, w zielony surdut z pętlicami przybrany, opierając się na grubéj i wysokiéj trzcinie z gałką kościaną. Pomieszanie jego było tak uroczém, kroki już drżące. Rozstępowano się wszędzie przez uszanowanie dla tego zgrzybiałego kochanka Justyny, dla téj osiwiałéj już sielanki, niegdyś po całym kraju tak brzmiącéj! — Gdzież były te miłostki, które opiewał! Zdawało się, że przychodzi młodszym wieszczom zdawać tę lutnią starożytną, z narodowego jeszcze wystrugąną jaworu, a z któréj tak serdeczne wywołał dźwięki. Uderzyliśmy oba z Brodzińskim w dłonie na przyjęcie go oklaskami, lecz czyli niezwykłość podobnego witania w towarzystwie, czy też w części zapomnienie już wielkich zasług Karpińskiego, nikt oklaskom naszym nie odpowiedział. Powstało tylko całe towarzystwo uczonych za zbliżeniem się jego; wskazano mu miéjsce w pierwszym rzędzie; obrał najskrytsze.

Przeminęło posiedzenie, Karpiński bocznemi wyszedł drzwiami, wszyscy wracali do domów, mówiąc o rozprawach, rymach czytanych, rzadko kto o naszym staruszku. — Dowiedziawszy się, że stoi w pałacu Chodkiewicza na miodowéj ulicy, udałem się z Brodzińskim wieczorem do właściciela domu, aby nas zaznajomił z Karpińskim. Poprowadził nas do jego mieszkania, lecz gdyśmy już zbliżyli się ku drzwiom jego, zatrzymaliśmy się nagle i w najgłębszéj stanęli ciszy, usłyszeliśmy bowiem starca naszego, przegrywającego na gitarze i nucącego swoją piosnkę: „Rzeka w górę nie popłynie. Nie powrócą moje lata....“ Nie wiem, czy są w świecie dźwięki, któreby głębiéj w duszę moją uderzyły, zwłaszcza też, gdy przy końcu każdéj strofy, wracał do owéj zwrotki:

Schylam się już do wieczora,
Już ja nie ten, com był wczora.

Kilka dziesiątków lat minęło, jak gdzieś tam na pograniczu Szląska słyszałem tę piosnkę po domach szlacheckich śpiewaną, i dziś mi wróciła jak echo mego ranku, i wróciła przez usta tego wieszcza, który ją z serca swego wydobył. Piosnka ta, tysiąc razy pielgrzymką swoją okrążyła Polskę całą, przebiła się przez wszystkie francuzczyzny, przez wszystkie burze, szczęki broni, i znów tak świeża i wdzięczna, jak niegdyś. Jesienny to tylko listek z jego życia uleciał, a przecież tak uroczy, ileż to serca i prawdy w téj łzie, co na nim spoczywa, a w któréj tak ośmione już odbija się niebo. Zaledwie ucichł, weszliśmy do niego. Ale jakież było nasze zadziwienie, gdy odwiedziny nasze nie zdawały mu się być przyjemnemi. Przyczyną tego w części była odwykłość już od świata, w części też i ten niełatwy humor, o który sam poniekąd w pamiętnikach swoich się oskarza. Kilka chwil przecież, kilka słów przez Brodzińskiego wyrzeczonych, sprowadziły nagłą zmianę, rozruchał się, jak to mówią, nasz staruszek, a napowiadawszy się wiele o Warszawie, jaką była za jego czasów, i o któréj tak jeszcze sądził, jak w swojéj prześlicznéj elegii: „Powrót na wieś,“ dodał nakoniec. „Wieleć to teraz rzeczy inaczéj jak dawniéj, moi Panowie; wiele z tego, co widzę i słyszę, zdaje mi się nieco lepszém; rozumniéjsze wychowanie po szkołach, świetniéjsze gmachy stolicy, to nawet, co się za mojéj pamięci tak ohydnie rozprzęgało, zlewa się jakoś w mocniejszą całość; ale jak my mieliśmy nasze „mea culpa,“ tak i wy je macie. Może to moje widzimi się; powiem przecież, że, jak mi się zdaje, naród ten jakoś nie z siebie, lecz obok siebie



Karpiński.

rośnie. Toż samo i z literaturą. Drzewo to, nie z Bolesławowego wyrasta już łanu. Grunt ci to niby polski, ale słońce i powietrze pożyczane; i dziwném zdarzeniem my starzy, figurujemy na własnéj ziemi, jakby exotyczne planty. Pojmuję ja, że biorą od obcych, bo, kiedy pustki w własnéj śpiżarence, toć trzeba od innych pożyczać, aleći o oddatku myślećby trzeba i to z procentem, a tu nie zanosi się na to. — Mała to rzecz zapewne, ale i to mnie zaboleć musiało. Byłem wczoraj zaproszony na obiadek. Żeby też jedna potrawa, coby się po ludzku nazywała. Jakieś melszpajzy, plumpundyngi, poczciwa nawet sztuka mięsa w jakiś dziki przekabaciła się bifsztyk, a wina, Boże odpuść, w jakichsiś rogatych kapeluszach, mankietach, same Francuzy, Hiszpany i Niemcy; nigdzie owe hungaricum, które jako z słowiańskiéj wyrosłe ziemi, lepiéjby się z naszą zgodziło naturą, i już z pradziadów naszych krwią się zlewało.“ — Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło, przerwał mu Brodziński. Nie mogąc zapewne pić tych kwasów w wielkiéj ilości, zaniechano ogromnych kielichów, ustały dawne pijatyki. Prawdać i to, odpowiedział Karpiński, lecz jeżeli Polska wytrzeźwiała, czemu nie z wszystkiego, czemu opija się znowu obczyzną, gorszym nad wszystkie jadem. Ale źródło tego już tak dawne, że trudno je będzie zatrzymać.

Zgadało się o nowych sztukach teatralnych. Podobał się niezmiernie Karpińskiemu Samolub Niemcewicza. „Otóż to,“ rzekł, “z żywéj natury wzięto. „Nie znam ja teraz waszéj stolicy, ale łatwo mi pojąć, że ten Samolub jest tu figurą miejscową, tyle w nim trafności i prawdy widzę. Spostrzegam ja, że błędy nawet Francuzów mieć będziemy, którzy jakimsiś niepojętym trafem, tak dowcipnie chwytają charaktery komiczne, a w tragedyach skryślić ich nie umieją.

„Otoż wiedzcie, moi panowie, gdybym nie był starym, byłbym i ja się odważył na komedyjkę prawdziwie polską, a wiecież zkądbym był wziął treść do niéj? Oto po prostu z bajeczki Krasickiego. Zgadniéjcie z jakiéj?“ — Bawił się staruszek czas niejaki memi i Brodzińskiego domysłami, rzekł nakoniec, że bajką tą są przyjaciele, gdzie jeden drugiego z całą ufnością posela w swaty do swojéj Bogdanki:

— — — — — — — — jakoż się nie lenił,
Poszedł, poznał Irenę, i sam się ożenił.

Zajęło nas dojrzenie tak przedziwnéj treści w drobnéj bajeczce. Opowiadałem późniéj tę anekdotę Malczewskiemu (autorowi Maryi), która tak mu się podobała, że w kilka dni przyniósł mi plan na téj bajce przez siebie osnuty; niesłyszałem przecież, aby późniéj zamiaru swego dokonał.

Odważyłem się zapytać Karpińskiego, czyli jeszcze czasem nie pisze wierszy, dodając, że każdy dźwięk jego tak mile byłby przyjętym. „Wątpię bardzo,“ odpowiedział, „co było w młodéj duszy, to już wyśpiewała; a co późniéj żalów i boleści przybyło, nadtoby może obrażało, gdybym chciał z tego wiersze robić. Lepiéj więc milczeć i jak to Krasicki mówi:

„Osłoniwszy się ciszą,
Patrzeć jak téż drudzy piszą.“

Zwróciłem w téj chwili uwagę jego na maleńką karteczkę, świeżo wierszami zapisaną, któréj zapewne ukryć zapomniał. „Błazeństwo! swawola!“ odrzekł Karpiński. „Bawiły mię te jednosyllabowe rymy, które u was teraz w modę wchodzą i właśnie przed godziną zrobiłem je dla jednéj dziewczynki, co tu zawsze do mnie zaglądа.“ I wziął owe wierszyki i odczytał nam:

Przyszłaś lubciu do mnie znów,
Kusisz oczkiem, wdziękiem słów.
Na urodzie twéj się znasz
I ztąd z starém sercem grasz.
O niewdawaj się w ten bój,
Bądź ostrożnym kwiatku mój.
Czynisz sobie ze mnie żart,
A ja może — stary czart.

Zachowawszy rymy te w pamięci, złożyłem je na papierze, z myślą, że może już ostatnim barda naszego będą tworem.

Bylibyśmy jeszcze dłużéj bawili u Karpińskiego, bo i nam tak błogo z nim było, i on też w towarzystwie naszém smakować się zdawał, gdy wtém nadszedł jakiś stary jego znajomy, kontuszowy jeszcze obywatel, na pogadankę zapewne wieczorną i maryasika, wszystko nawet do tego przyrządzoném się zdało. Pożegnaliśmy więc naszego wieszcza, a ja z tym większym żalem, że nazajutrz na długo oddalałem się z Warszawy. Nie zastałem go już za moim powrotem. Z boleścią tylko serca dowiedziałem się, że ani towarzystwo, ani teatr, ani żaden poeta, głośniéjszym nieco hołdem nie uczcił jego pobytu. Czemuż nie było tego kwiatu przedgrobowego rzucić mu pod stopy? czemuż nie umilić wieczoru życia tak zasłużonego? Czytałem w kilkanaście lat późniéj o wystawném przez towarzystwo przyjęciu obcego literata i z łzami przypomniał mi się Karpiński.

F. M.

Nakładem i drukiem Ernesta Gunthera w Lesznie. (Red. Ciecnański.)